

Sebastiana Majewskiego być albo nie być

Przeżył wycofywanie się aktorów ze spektakli, donosi do marszałka za nagość w „Antoniuszu i Kleopatrze”.

Sebastian Majewski, dyrektor artystyczny Teatru Jaracza, kończy pierwszy, trudny sezon i mówi: „Nie żałuję”.

ROZMOWA Z
SEBASTIANEM MAJEWSKIM
dyrektorem artystycznym
Teatru Jaracza

IZABELLA ADAMCZEWSKA: Po premierze „Bang Bang” dziękował pan zespołowi za wsparcie w trudnym sezonie. Dlaczego trudnym?

SEBASTIAN MAJEWSKI: Przyszłem do teatru, który był prowadzony przez lata przez Waldemara Zawodzińskiego i miał wypracowane rozwiązania. Musiałem przekonywać zespół, że można inaczej popatrzeć na miejsce, w którym jesteśmy, spektakle i widzów.

Czyli problemem był opór zespołu, nie widzów?

- Nie opór - trudność. Rozumiem ją. Każde wejście w wypracowany przez lata układ powoduje zawirowania.

Jesteśmy w momencie wymiany widzów. Pozyskujemy takich, którzy do „Jaracza” nie przychodzili, nie znajdując tu dla siebie repertuaru. Tracimy tych, którzy nie zalapują się na nasze propozycje. Na szczęście to odpływ mentalny, nie liczbowy. Gramy prawie przy kompletach.

Jaki jest profil widza, który się nie zalapuje?

- Przychodzi do teatru, żeby spędzić miło czas. Każde z przedstawień, które zrobiliśmy w tym sezonie, wymagało od odbiorcy gotowości i otwartości. Widz, który tego nie ma, już do nas nie wróci, bo uważa naszą ofertę za zbyt trudną, niedającą wytchnienia. Niektórzy narzekają na publicystykę, bo chcieliby zobaczyć coś uniwersalnego.

Czyta pan pewnie internetowe komentarze. „Prywatny teatr Majewskiego”, „teatralna smarkateria”...

- To mnie nie przeraża. Z takimi opiniami stykałem się w każdym teatrze, w którym pracowałem. Profil teatru, który proponuje, powoduje kontrowersje. Tak było w Wałbrzychu, tak było w Starym Teatrze w Krakowie. Staram się do siebie przekonać.

Widz, którego chcecie pozyskać, przejdzie z Teatru Nowego? Jego dyrektor Krzysztof Dudek zapowiada zwrot ku klasyce.

- W Nowym bywam i wiem, że publiczności, której potrzebujemy, tam również nie ma. Musimy otworzyć się na studentów, ale nie chcemy tego robić, obniżając ceny biletów. Po lekturze programu Duda



Sebastian Majewski szykuje się do kolejnego sezonu w łódzkim teatrze

czuję, że coś się w Łodzi przeakcentuje. Myślę, że Nowy przejmie myślenie o teatrze, które do tej pory było przypisane „Jaraczowi”. My bierzemy na siebie to, co do niedawna było kojarzone z Nowym. To ciekawa wolta, która dzieje się na naszych oczach.

Wspomniał pan o problemach z przekonaniem aktorów do zmian. Ale przecież to zespół pana wybrał. Chyba wiedzieli, na co się decydują.

- Wdrażanie idei w praktykę zawsze przynosi zgrzyty i niezadowolenie.

Zespół się podzielił. Nie wszyscy odnajdują się w nowym programie, a niektórzy wręcz nie grywają. Bronisława Wrocławskiego nie ma w żadnej nowej produkcji. Aktorzy często panu odmawiali?

- Różnice zdań w tak dużym zespole to norma. W tym sezonie zagraли prawie wszyscy etatowi aktorzy, oprócz tych, którzy nie mogli na przykład dlatego, że występują w filmach lub serialach.

Ale Agnieszka Więdłocha, najbardziej serialowa dziewczyna z zespołu, znalazła czas na „Komedianta”.

- Owszem. Ale na przykład Ireneusz Czop nie mógł, a bardzo chciał i udało się skoordynować kalendarze. Zagra w nowej premierze „Czarownicach z Salem” w reżyserii Mariusza Grzegorzka.

Powrót do reżyserów z czasów Zawodzińskiego to próba kompromisu?

- Od początku mówiłem, że chciałbym kontynuować współpracę z Mariuszem Grzegorzkiem, Grzegorzem Wiśniewskim i Agatą Dudą-Graczą. Wrocławski miał grać w którejś z nowych produkcji?

- W „Komediantcie”.

Odmówił?

- Miał prawo, jak każdy członek zespołu artystycznego. Zgodziłem się, bo cenię go jako aktora. Wróciliśmy do rozmów, może zaakceptuje jakąś propozycję.

Czyli w zawodzie aktora też jest klauzula sumienia?

- Bronisław Wrocławski od lat pracuje głównie z jednym reżyserem.

Jackiem Orłowskim, który odszedł z „Jaracza”, kiedy zastąpił pan Zawodzińskiego.

- Przestał być etatowym reżyserem „Jaracza” w 2006 r.

O Krakowie mówił pan, że nie jest kulturotwórczy, tylko „kulturowotórny”. Jak na tym tle wygląda Łódź?

- To miasto bardzo dynamiczne, bardziej otwarte niż historyczna/histeryczna stolica Polski. To, co robimy, przychodzi tu łatwiej, choć budzi większe niezadowolenie. Łódź jest miastem pokiereszowanym, walczącym o tożsamość. Ale jeżdżąc na festiwale, jesteśmy dumni, że jesteśmy stąd. Nie wstydzimy się tego miasta, co zdarza się często łodzianom.

Trudno tu wyprodukować arcydzieło. Duet Wiktor Rubin i Jolanta Janiczek poległ w Nowym na „Karle, Downie i innych żywiołach”.

- Arcydzieła wymagają specjalnej pielęgnacji. Przestrzeni, skandalu albo prowokacji. Artystycznej odwagi albo precyzyjnego marketingu. Tego w Łodzi brakuje. Spektakle nie znajdują zainteresowania krytyki krajowej. Chociaż miasto jest w centrum kraju, jest bardzo na uboczu.

Nowy chciał warszawskich krytyków przywozić na premiery do Łodzi autokarem. Smutne...

- Niezmotoryzowani recenzenci po godz. 22 nie mają jak wrócić do Warszawy. Czy teatry powinny im fundować noclegi?

A z Wałbrzycha jak wracają?

- Podróż do Wałbrzycha to już jest taka wyprawa, że bierze się pod uwagę nocleg. W przypadku Łodzi bliskość do Warszawy staje się przekleństwem. Mam nadzieję, że nasza pozycja w kraju się zmieni. Byliśmy na festiwalu w Kaliszu [Grand Prix 56. Kaliskich Spotkań Teatralnych dostała Agnieszka Kwietniewska za rolę w „Komediantcie” - przyp. red.], dostaliśmy zaproszenie na Boską Komedię do Krakowa, na którą też pojedziemy z „Komediantem”. „Bang Bang” pokażemy na festiwalu młodej reżyserii m-teatr w Koszalinie. Z „Księciem Niezłomnym” i „Śmieciernią na gruszy” pojedziemy prawdopodobnie na Festiwal Nowego Teatru do Rzeszowa. A samego „Księcia” pokażemy w Wejherowie. W tym roku mija 90 lat od pokazania tam „Księcia” w reżyserii Juliusza Osterwy i w wykonaniu aktorów Reduty.

Jakie są plany na kolejny sezon?

- Hasło mijającego sezonu brzmiało „My”, w przyszłym będą to „Oni”. Po wakacjach pokażemy „Czekając na Godota” Michała Borczucha. Wojtek Klemm przygotowuje „Filokteta” Heinera Müllera. Tomek Cymerman zrobi spektakl o łódzkiej grupie Ju-



de. Agnieszka Olsten będzie pracować nad „Diablem” Andrzeja Żuławskiego, a Dominika Knapik nad drugą częścią swojego dyptyku, „Obcym”. Z Wojtkiem Farugą umówiliśmy się na projekt o Katyniu w kontekście tworzenia polityki historycznej.

Temat lokalny tylko w „Jude”?

- „Obcy” może być przecież przedstawieniem o kosmosie w Łodzi. Nasiąkamy tym miastem i inaczej o nim myślimy, niż kiedy przyjeżdżaliśmy tu od czasu do czasu.

Z początku był pan pewnie przerażony.

- Lubię Łódź i dobrze się tu czuję. Ale kiedy się tu przeprowadziłem, obawiałem się konfrontacji. Wsiadałem do tramwaju i czułem, jak wszystkie oczy się na mnie kierują. Oczywiście to była moja projekcja. Po roku pozbyłem się tej obsesji.

Czyli wychodzenie do „sąsiadów” miało też wymiar terapeutyczny?

- Trochę tak. Co ciekawe, bałem się ich mniej niż pracownicy Jaracza. Kiedy zaproponowałem, żeby chodzić do naszych sąsiadów i osobiście ich zapraszać, koledzy radzili mi, że bym robił to w asyście policji. Ostatecznie nic nam się w tych bramach i podwórkach nie stało. Nic mi się też nie stało na spotkaniu, na którym dowiedziałem się, że bilet powinien kosztować tyle, co dwa piwa.

???

- W sierpniu wypuściłem się na Włókienniczą, przed którą wszyscy mnie ostrzegali. Wszedłem do jakiejś bramy i przez moment myślałem, że już nie wyjdę. Delikatnie się wyco-

fywałem, ale zaczęto na mnie pokrzykiwać, więc wytłumaczyłem, że jestem dyrektorem teatru. Rozmowa była specyficzna. Dowiedziałem się, że mając teatr w następnej przecznicy, nie wiedzą o jego istnieniu. Kiedy zapytałem, czy by przyszli, odpowiedzieli, że chętnie, ale bilet nie powinien być droższy niż dwa piwa. Stąd się wzięła cena - 6 zł.

Przyszli?

- Tak. W sezonie zorganizowaliśmy sześć spektakli dla sąsiadów. Na pierwszym, „Babie Chanel”, były 104 osoby.

Chodzi pan po Łodzi jak Bronisław Malinowski do dzikusów.

- Lubię takie klimaty. Super, jeśli teatr wychodzi do ludzi. Zastanawiamy się, co dalej, bo nie opłaca się tylko zapraszać, trzeba zacząć z sąsiadami pracować. Może zrobią coś z nami, opowiedzą o sobie?

To, że Łódź jest miastem postrobotniczym, bardzo mi się podoba. Miejsca przetrzacone transformacją mnie inspirują. Z Łodzią problem mają głównie łodzianie, bo nie potrafią nazwać jej specyfiki. Sprawa z Lindą pokazała, że nie brakuje tu społecznego zaangażowania. Tożsamość miejska gdzieś jest, ale schowana. Prowokacja spowodowała, że się obudziła, i to jest dla mnie ważne spostrzeżenie.

Próbuje się lansować tożsamościową opowieść o rewolucji 1905 r. Teatry też z tego korzystają - wątek rewolucyjny pojawia się w „Ziemi obiecanej” Brzyka i w „Tangu Łódź” Orzechowskiego.

- To supertemat, ale przez to, że ma konotacje PRL-owskie, trzeba wykonać nad nim większą pracę. Kiedy Wrocław zaczynał budować swoją tożsamość na niemieckości, była ona odbierana jako garb. Olbrzymi wysiłek spowodował, że dziś nazwa Breslau nie razi. Gdy przyjechałem do Łodzi, usłyszałem, że to stolica mody i designu. A przecież moda i design są w Warszawie. Dziewczyny, które prowadzą showroom na Piotrkowskiej, powiedziały mi, że chęci mają, ale klientów nie bardzo... Lepiej mówić o Łodzi jako o mieście rewolucji. Awangarda też jest już historyczna, a rewolucja odbywa się każdego dnia.

Jakie wnioski wyciągnął pan po tym sezonie?

- Boję się podsumowań. Ale nie żałuję mojego przyjscia do „Jaracza”. Czuję się tutaj dobrze i mam nadzieję, że „Jaraczowi” ze mną też jest OK.

Nie wiadomo, czy w nowym sezonie wrócę. Jako autor dramatu, który będzie wystawiany w Los Angeles przez amerykański teatr, który nie dostał wsparcia finansowego z Ambasady RP, bo tekst ponoć jest antypolski, jestem bohaterem skandalu. A to pewnie dopiero początek.

O jaki tekst chodzi?

- „Prawy lewy na obcasie” o butach Magdy Goebbels, przechodzących z nóg na nogi. Jako ostatni nosi je tancerz Krystian, który zostaje przez wszechpolską zabity za te buty na wrocławskim pl. Jana Pawła II. Dramat został przetłumaczony na angielski i znalazł się w antologii „(A) pollonia”, którą wydał Instytut Ada-

Sebastian Majewski

urodził się w 1971 roku we Wrocławiu. Jest reżyserem, dramaturgiem, aktorem i scenografem.

Skończył Wydział Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku. Jako reżyser debiutował w 1997 roku w Wierszalinie, adaptacją „Prawieku i innych czasów” Olgi Tokarczuk. Założył wrocławską Scenę Witkacego. Jako dramaturg współpracuje m.in. z Janem Klątą, Krzysztofem Garbaczewskim, Marcinem Liberem, Natalią Korczakowską i Piotrem Ratajczakiem. Był dyrektorem Teatru Dramatycznego im. Szaniawskiego w Wałbrzychu (2008-2012), a od 2013 roku zastępcą dyrektora do spraw artystycznych w Narodowym Teatrze w Krakowie. W sierpniu 2015 roku został dyrektorem artystycznym łódzkiego Teatru Jaracza. Tworzy w „duecie” ze swoim alter ego - pilgrimem, np. „Córki Audrey Hepburn”, „Zabawy pod kocykiem”, „W kwestii zwycięstwa”, „Prawy lewy na obcasie”.

ma Mickiewicza. Szefowie City Garage Theatre zgłosili się do polskiego konsulatu w LA o współfinansowanie premiery, czyli pomoc w wystawieniu polskiego tekstu, który został wydany przez ministerialną instytucję, zajmującą się promocją polskiej kultury za granicą. Konsul odmówił, uznając dramat za nieoprawny politycznie i antypolski. Chodzi zapewne o ostatnią scenę. I żeby była jasność, sprawa o wszechpolskach zajmuje cztery linijki.

Dlaczego na imieninach Traugutta aktorzy śpiewali ocenzurowane piosenki z „Bang Bang”?

- Spektakl jest dla widzów dorosłych. Piosenki śpiewaliśmy o 15.15, w przestrzeni publicznej. Nie chcieliśmy stawiać w kłopotliwej sytuacji rodziców z dziećmi, siebie i urzędu marszałkowskiego. Ani znów tłumaczyć oburzonym widzom, dlaczego używamy brzydkich wyrazów.

Były takie sytuacje?

- Tak. Musieliśmy pisać do urzędu marszałkowskiego wyjaśnienia dotyczące nagości w „Antoniuszu i Kleopatrze”. Tłumaczyliśmy, że jest to usprawiedliwione przebiegiem spektaklu.

Czy pana rola właściciela gospody w prowincjonalnym Uzbach w „Komediancie” to przytyk do Łodzi?

- Nie. To była moja odpowiedź na złożenie roli przez aktora. Gdybym tego nie wziął na siebie, wszystko by się posypało. To było takie być albo nie być. ●

ROZMAWIAŁA IZABELLA ADAMCZEWSKA